

Otwieranie oczu po przebudzeniu jest jak oglądanie tęczy podczas burzy. Piękno miesza się z niebezpieczeństwem i grozą. Ale w moim pokoju nie ma tego wielobarwnego łuku, ani orzeźwiającego zapachu deszczu. Ptaszki nie świergola. Świerszcze nie cykają. W zamian jakaś maskara zwana muchą, byczy mi koło ucha, niszcząc wszystko co miało mnie pozytywnie do wstającego, nowego dnia, nastawić.

Ręka wydaje się być ciężka jak z ołowiu. Mimo wszystko wyrusza na łowy. Polowanie na komórkę uwieńczone zostaje sukcesem. Spoglądam dwa razy na ekranik, pytając się, czy czasem to nie jest jeszcze sen. Godzina 8:22 nie cieszy mojego oka. Wręcz boli. Wprawia w przerażenie. Z powolnych ruchów przechodzę w te drastycznie szybkie. Wyskakuję z łóżka niczym mała wyścigówka, chcąc dogonić Kubicę na torze formuły pierwszej.

W rekordowo szybkim czasie myję zęby i twarz. Ubieram byle jakie ciuchy. Biegnę ponownie do szafy, przypominając sobie jaki to dziś dzień mamy. Próbuję znaleźć nie potargane rajstopy, czystą białą koszulę i spodnie, które ostatnio gdzieś zagięły. Przetrzepanie całej szafy nie wchodzi teraz w grę. Wyglądam przez okno. Miarowe stukanie w szybę przerodziło się w uciążliwe chlupanie. Deszcz, leje się z nieba, nie gorzej niż woda z mojego prysznica, gdy był jeszcze pełnosprawny. Ze złością wyszarpuję z szafy spódnicę, w której na pewno nie będę się czuła pewnie.

Nienawidzę takich dni jak ten, gdy wszystko obraca się przeciw mnie!

Moja nienawiść do typowo kobiecych ubrań wzięła się z podstawówki, gdy to jeszcze moja mama rządziła moimi ubraniami. Przygotowywała mi rano zestawy, które miałam włożyć. I zawsze były to króciutkie sukienki czy spódniczki. Nie wyglądałam w nich dobrze. Szczerze, to wręcz koszmarnie. Wiedziałam to już wtedy. Teraz budzi to we mnie paranoiczny lęk i olbrzymi psychiczny dyskomfort.

Rzucam szybkie spojrzenie w lustro i staram się związać włosy tak, żeby mi nie przeszkadzały, gdy będę łapać autobus. Kierowca pewnie jak zwykle odjedzie z uśmiechem złośliwej satysfakcji na twarzy i nie pozwoli mi wsiąść do swojego pojazdu. Dlatego decyduję się na założenie szpilek dopiero na przystanku. Nie potargane rajstopy chowam do torebki. Przydadzą się później, gdy już uda mi się zdążyć na ten kosmiczny pojazd. Pełen wrzeszczących nastolatków. Śmierdzących starszych panów i pań. I takich samych, zdesperowanych, wiecznie spóźnionych i roztargnionych wersji mnie w różnym wieku, stadium rozwoju sadelka, wypadania zębów czy włosów.

Zestaw kluczy, które trzymam w ręce zupełnie nie pasuje do moich drzwi. Cholera jasna! Wiedziałam, że to te z domu rodziców! Szybko lecę po odpowiednie. Kilka sekund później zeskakuję ze schodów. Wypadam na ulicę jak jakaś wariatka, mocząc stopy w miejskich kałużach. Wstrząsa mną dreszcz obrzydzenia. A jak kot tu nasikał?

Wiem, że nie wzięłam parasola. Nie mam już czasu żeby się po niego wrócić. I tak wyglądać gorzej już nie mogę. Dobrze, że się nie maluję. Gdybym jednak, nie daj Boże, robiła coś równie głupiego, wyglądałabym nie jak zwykle, przeciętna zmokła kaczką, lecz na dodatek rozmazana.

Torebka zsuwa mi się z ramienia. Buty chowam pod płaszcz. Może chociaż one wyjdą z tego spotkania mniej więcej suche. Mam do pokonania jeszcze dwa zakręty. Moja kondycja nie plasuje się na zbyt wysokim poziomie. Wiem, że twarz nabiera barwy buraczanej. Płuca błagają o zwolnienie kroku. Ale nic z tego! Nie mogę się poddać tak łatwo. Potrącam jakiegoś dzieciaka. Szczyl przeklina jak szewc. Pokazuję mu środkowy paluszek i biegnę dalej. Mam szansę zdążyć. Muszę to zrobić!

Serce wali mi jak szalone. Kątem oka widzę barwne napisy na pojeździe do którego mam zamiar wsiąść. Do protestu oprócz płuc dołącza kolka. Cholera! Cholera! Cholera! Ostatkiem sił biegnę ale wydaje się to dystansem nie do pokonania. Dwa sapnięcia dalej zniechędzony pojazd zatrzymuje się z piskiem opon. Potrącam kolejnych przechodniów. Zawsze bezczelnie torują mi drogę Przepycham się przeklinając te ślimaki w myślach. Wreszcie dopadam drzwi. Dyszę. Sapię. Staram się nie opluć młodzieniaszka który patrzy na mnie jak na swoją babcię pobłogosławioną świadem starczym.

Opieram się o zamknięte już drzwi i szukam portfela. W autobusie jest tak dużo ludzi, że chyba nie dam rady się przepchnąć do kierowcy. Ale próbuję. W połowie drogi zatrzymuje mnie przystojny, dobrze ubrany pan.

- Bileciki do kontroli proszę.

Nienawidzę jak ta odmiana kanarków zaczyna ćwierkać. Oto ja. Z butami w dłoniach. Mokra jak kaczka. Spocona. Zmęczona. Granice mojego opanowania trzeszczą w szwach. Próbuję zaświergotać w języku tego ptaszyska. Nie stara się mnie nawet zrozumieć! Na dobry początek świetnego dnia, zamiast śniadania dostaję małą karteczkę. Świstek papieru kosztuje ponad sto złotych. Uśmiecham się uroczo do butnego skurczybyka. A co mi tam! Soję mu bezczelnie na drodze i zakładam szpilki. Nie obchodzi mnie jego wściekły wzrok, ani słowa które do mnie kieruje.

- Butów nie zdążyłam ubrać, a co dopiero bilet kupić. – odparłam. Pan może chwilę poczekać. Moje stopy już nie.

Gdyby był młodszy, pewnie by mu na buźce rumieniec wyskoczył. A tak to patrzył na mnie jakbym mu pozabijała całą rodzinę. Pewnie myślał, co by tu zrobić, że by podwoić moją karę.

Dzięki mnie kilku osobnikom na gapę udało się wsiąść na następnym przystanku. Jeden dobry uczynek odkąd zdążyłam wstać.

Niewiele brakuje, a przejechałabym swój przystanek. Drzwi przytrząskują mi kawałek buta. Szarpię więc nogą. Sukces! Jestem uwolniona. Niestety odlatuję kawałek do przodu. Wpadam na wściekłego faceta, który oblał sobie koszulę kawą. To było niechcący! Czy słowo „Przepraszam” będzie bardziej efektowne, niż ucieczka z miejsca zbrodni? Już otwieram usta, żeby powiedzieć to co kulturalna osoba by powiedziała. Gdy jednak słyszę lecące w moją stronę obelgi, czerwienie się jeszcze bardziej. Muszę utrzymać między nim a mną duży dystans. Gotowy mnie jeszcze rozgnieść swoimi bucikami z krokodylej skóry!

W dwie minuty później zauważam, że jego latte na wynos, poplamiała moje ubranie. Mam ochotę sobie usiąść i popłakać. Ale nawet na to nie mam czasu. Przyszły szef i tak mnie nie przyjmie, jak zobaczy jak wyglądam.

Staruszka stojąca na rogu sprzedaje ubrania. Pytam czy ma białe koszule. Owszem, ale same rozmiary na osoby „o grubych kościach”. Biorę najmniejszą i kupuję jeszcze szeroki pasek. Nie czekam na wydanie reszty, tylko biegnę jak szalona do budynku w którym za sześć minut mam bardzo ważną rozmowę o pracę. W dwie później zdzieram z siebie z łazienki moką koszulę. Cholera! Cholera! Cholera! Jak jedna rzecz się rypnie, to potem leci wszystko na zasadzie domina! Biustonosz też jest mokry. Zabarwił się na brązowo. Modlę się, żeby koszula nie była prześwitująca. Ubieram ją pospiesznie. Wrzeszczę w myślach, że dekolt jest za wielki!

Poprawiam jeszcze tylko włosy i wypadam z łazienki. Robię to w porę, by usłyszeć swoje nazwisko wykrzykiwane przez sekretarkę. Podbiegam z sztucznym uśmiechem na twarzy. I dopiero gdy blondynka patrzy na mnie ukrywając śmiech, wiem że o czymś zapomniałam. Spoglądam na moje nogi i widzę potargane rajstopy. Mój przyszły, a raczej – niedoszły, szef patrzy na mnie ze zdziwieniem.

- Przepraszam na momencik.

Lecę do łazienki i minutę później siedzę już na niewygodnym krześle w gabinecie mężczyzny, który wylał na mnie swoją latte. Domino. Pieprzone domino!

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

anek\_ch, dodano 23.09.2010 09:09

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).